

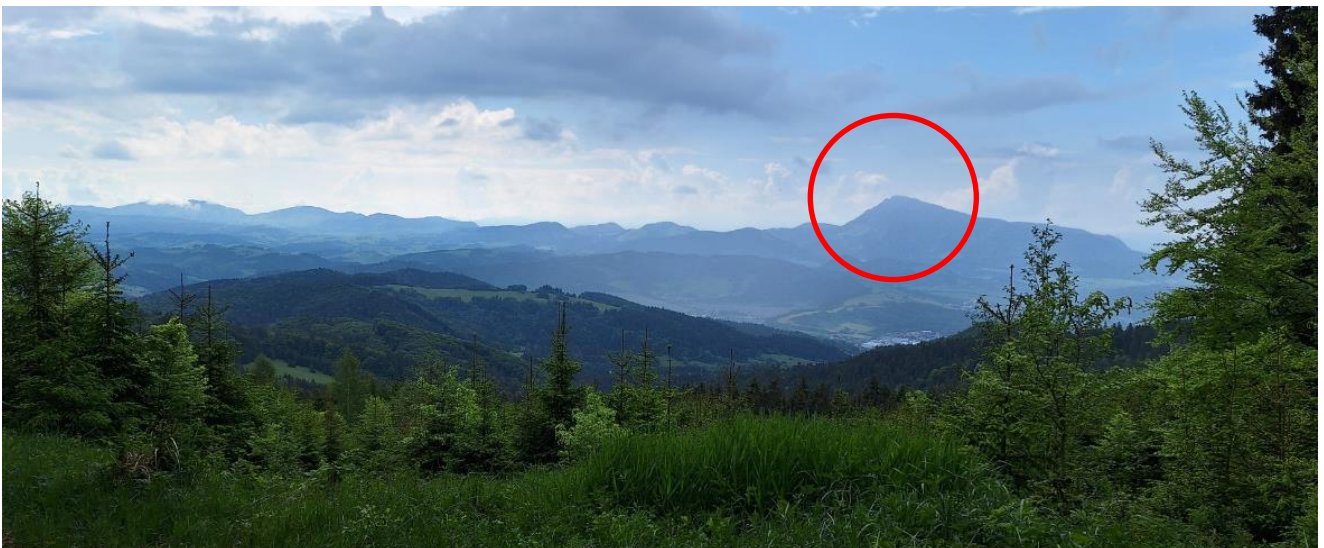
**Na Minčol
czyli
wizyta na Magurze Orawskiej**

No i znowu jedziemy za granicę. Ostatnio na wycieczkach więcej czasu spędzam w busach niż na trasach, ale zachciało się – nie wiedzieć czemu – zdobywać odznaki turystyczne, to trzeba się najeździć. Ale wycieczka będzie chyba atrakcyjna, bo bus wypełniony do ostatniego miejsca, co niestety ostatnimi czasy nie jest standardem ☹️. Jedzie z nami Rysiu Klecki, który ma jednak zupełnie inne plany. Nie wiem, czy nie zdradzam jakiegoś sekretu, ale Rysiu jedzie na rekonesans, by przygotować spływ kajakowy Orawą. Może być fajnie, choć bystrza, które Rysiek obiecuje, chyba za każdym razem są za krzakami, bo ja z busa wszędzie widzę spokojną, niczym nie zmaconą, toń rzeki.



No i tak se jedziemy, jedziemy, aż dojeżdżamy do Orawskiego Podzamoka, obok którego (Racibor) będziemy startować na trasę. Początek wiodący niebieskim szlakiem do Chaty na Kubinskiej hołi jest umiarkowanie atrakcyjny, a mówiąc precyzyjnie – całkiem nudny. Ścieżka, raz stromiej, raz łagodniej mozolnie pnie się przez las. A w lesie, jak to w lesie – widać głównie drzewa. W końcu, gdzieś po godzinie wspomnianego mozołu, docieramy na rozległą polanę. No i są

widoki i to nawet, nawet. Moja rozległa wiedza turystyczna pozwala mi zidentyfikować jeden szczyt. Wiem, nie ma się czym chwalić, bo pewnie wszyscy rozpoznali, co widać na zdjęciu.



Oprócz tego, rozpoznałem jeszcze Tatry; tak ogólnie... jako grupę górską ☺️. Rzut oka na zegarek i wygląda na to, że znacząco wyprzedzamy harmonogram, co osoby z którymi idę prowokuje do przyspieszenia kroku. Hmm... ☹️ Jeszcze ze trzy kwadransy i jesteśmy przy schronisku na Kubinskiej hołi, gdzie miałem plan wypróbować miejscowe piwo. Krótka rozmowa i ku mojemu zaskoczeniu okazuje się, że jestem w tym planie odosobniony. Ponoć trzeba iść, bo idzie dysc. Trzeba, to trzeba – najpierw obowiązek, potem przyjemność. Najpierw odrobinę stromizny, ale potem trasa wypłaszcza się i docieramy do grzbietu, gdzie spotykamy czerwony szlak z przełęczą Príslop. Szczyt już bliutko, a nam otworzyły się widoki również na północną stronę. Widać między innymi Babią i Pilsko... tak mi się przynajmniej zdaje. Zanim jednak zdobędziemy szczyt, przechodzimy obok górnej stacji wyciągu narciarskiego i rozpadającej się chatki, którą pamiętam z mojej poprzedniej wizyty.



Na chatce zachowała się tabliczka z nazwą szczytu, którą przybili tam Gienek z Witkiem. O dziwo zachowała się również pieczętka, niestety w opłakanym stanie. To w zasadzie nie pieczętka, a jej fragment, który nie pozwala zidentyfikować miejsca. Nam zostało jeszcze za 3 minuty przez las i docieramy do szczytu. I dobrze, bo na niebie robi się jakby ciemniej. Seria dokumentacyjnych zdjęć i schodzimy. Rzucam propozycję zejścia na siagę stokiem narciarskim, przez co mijamy się z resztą grupy, która nadal jest na podejściu. Ledwo siadamy na werandzie schroniska, gdy zaczyna padać. Ulewa to to nie jest, ale jak widać, niektórych sprowokowała do wyjęcia odzieży ochronnej. Schronisko funkcjonuje w trybie całkowicie pozasezonowym, co poniekąd nie jest dziwne, bo lokal jest sprofilowany pod narciarzy. Tych w maju oczywiście już nie ma i tak szczerze mówiąc przyszłość ośrodka nie wygląda różowo. Trasy położone są nisko i na południowym zboczu. Przy obecnych zmianach klimatu dni Kubinskiej hołi są raczej policzone... i nie będzie to jakieś wielkie liczenie ☹️. No więc, jak to w trybie pozasezonowym, kuchnia nie działa, a piwa jest jeden gatunek – paskudny kwaśny Urquell. Kupujemy co jest i czekamy na resztę grupy. Są i niestety nie są jakoś bardzo zmoczeni. Jak widać na załączonym obrazku, korzystając z przyniesionych



zapasów, udało się urozmaicić menu. Jest też część oficjalna – Jacek wręcza zdobyte odznaki. Marcin po 23 latach, czy jakoś tak, wspinaczki po górach, zdobywa małą złotą GOT. Chodzi się! Ponieważ już

wszystko wypite i wszystko zjedzone, a deszcz dawno przestał padać, pada hasło o wymarszu. Na dół, wzdłuż stoku, jest naprawdę niedaleko.



Nie mija pół godziny, jak jesteśmy w Koliesku, na dolnej stacji ośrodka narciarskiego. Tam też wszystko zamknięte... oprócz busa. Ot taka ciekawostka – bus otwarty, a kierowcy nie ma. Na szczęście telefon rozwiązuje sprawę i po chwili zjawia się i on. To już naprawdę pora, by coś zjeść, zatem wracamy do Oravskiego Podzamoka, gdzie Jacek ma sprawdzoną knajpę. Ja zamawiam klasycznie - cesnaková polievka, bryndzové halušky so slaninou a tmavé pivo. Jak smakowało? Powiedzmy, że był to najlepszy obiad, jaki jadłem tamtego dnia. Pojedliśmy, no to pora wsiadać do busa i wracać w stronę domu. Tak przynajmniej podpowiadałaby logika i zdrowy rozsądek. Jednak po kilku minutach błogiej nieświadomości, zaczyna mnie zastanawiać, dlaczego za oknem nie widać rzeki, a bus dziwnie stromo zapieprza pod górę. Kierowca jednak nie reaguje na uwagi. Ok, nie mój cyrk, nie moje pchły. Dzień nadal młody. Chce nam pokazać trasę wokół Jeziora Oravskiego, niech i tak będzie. Dzięki temu po raz pierwszy odwiedzam Námestovo. Niby tylko przejazdem, ale zawsze. Podsumowując: wycieczka udana. Trasa była niemęcząca, widoki całkiem, całkiem, ludzie uśmiechnięci, wraca nas tyłu, ile wyjechało. Same plusy dodatnie! Oby tak zawsze... albo chociaż jak najczęściej. Do zobaczenia na szlaku. Ze mną to pewnie u Władka na Radziejowej.

